

*Gdzie są dzieci?*

*Nikt nie wie, co tu się zdarzyło.*

*Nikt niczego nie widział.*

**- Rammstein, „Donaukinder” (2009)**

# **Rozdział 6:**

# **MIĘDZY WYMIARAMI**

## **Rhombus**

Ogień z paleniska dogasał już pomału, zostawiając po sobie jedynie zwęglone resztki. Wykrzesany jakby znikąd rozpalał się stopniowo, zajmując coraz większy obszar, pochłaniając w końcu wszystko, co tylko znalazło się w jego zasięgu. Wzniesiony przez tych którzy chcieli ogrzać się jego niszczycielską mocą trawił to dzięki czemu ożył, nie znając ani krzty umiaru. Choć wydawał się niezwyciężony, chłonąc niemalże każdy, nawet najbardziej niedostępny zakamarek tego co ogarniał ludzki wzrok, to i on w końcu zaczął tracić na sile. Dogasał leniwie, zostawiając przypalone acz, nie wiadomo jakim cudem, ocalałe z jego „objęć” zgliszcza. Te ledwie żarzące się drobne punkty, co pewien tylko czas delikatnie podsycane były nieśmiałymi podmuchami powietrza pochodzącymi z ludzkich płuc. Dopóki tliło się w nich życie, dopóty istniał także i ogień.

Taniec bursztynowo-złotych języków ognia zakończył dopiero ciężki but o twardej podeszwie. Osobliwie kołyszące się i wręcz hipnotyzujące swoimi ruchami iskry rozpadły się, znikając gdzieś w mroku, jakby nagle zostały przeniesione w inny wymiar.

— Starczy tego. Ma po nas nie zostać żaden ślad. Ruszamy za dziesięć minut. Zbierajmy się — rzucił stanowczym tonem jeden z czterech mężczyzn znajdujących się wokół ogniska, wstając energicznie. Po jego pewnych ruchach i oznajmującym tonie głosu można było przypuszczać, iż był on kimś w rodzaju dowódcy.

— Łohoho... to się ważny zrobił. Co ty w wojsku jesteś? Pułkownika ci nadali? Rozkazywać ci się zachciało? — obruszył się kpiącym głosem niewysoki mężczyzna o bujnym zaroście i krótkich, postrzępionych włosach.

— Mam gdzieś, co sobie myślisz, Rumcajs. Mamy robotę do wykonania i najwyższa pora ruszyć dupę. Wiesz że nie możemy sobie tak o robić tego co nam się żywnie podoba. A zresztą — machnął ręką widząc brak reakcji u kompana. — Jak chcesz, to tu sobie siedź. Ja nie będę potem szukał twojego ścierwa po okolicy.

— Borys ma rację — wtrącił wysoki, smukły, na oko dwudziestoparoletni chłopak o dość niskim głosie i muskularnej sylwetce. — nie możemy za długo siedzieć w jednym miejscu. Nie tutaj, nie o tej porze i nie gdy mamy coś do zrobienia.

— A co my mamy do zrobienia? — zdawał się pytać retorycznie Rumcajs. — I tak wszyscy zdechniemy. Prędzej czy później. Dobrze o tym wiecie — wstał, szurając ziemią w stronę niedawno palącego się ognia. — Całe to wasze dorabianie sobie otoczki... misji... to o kant dupy potłuc jest.

— No to spieprzaj stąd jak ci się nie podoba! — wyraźnie podenerwował się Borys, wykonując zdecydowany ruch w stronę kompana wskazując mu palcem dłoni jakieś odległe miejsce pośród gęstego, wszechogarniającego mroku.

— Cisza! Spokój do cholery! Teraz będziecie się sobie do gardeł rzucać?! Już to przerabialiśmy! Każdy myśli, co chce, ale po coś tu przyszliśmy, więc bez szczeniackich wyskoków! — podskoczył, do tej pory siedzący w kompletnej ciszy, ostatni z mężczyzn o niezwykle wyrazistych kościach policzkowych i bladej cerze, które nadawały mu trupiego wręcz wyglądu.

Wszyscy stali tak w ciszy i skupieniu oczekując na rozwój wydarzeń. Trwało to z dziesięć, góra dwadzieścia sekund, a wydawało się zajmować całe minuty, zapewne z powodu wymiany głębokich i pełnych napięcia spojrzeń pomiędzy uczestnikami wydarzeń.

— Masz rację Pecu — przyznał Borys, nie spuszczać wzroku z Rumcajsa. — Szkoda czasu. Zbierajmy się już — odstąpił i poszedł w kierunku swoich rzeczy, wśród których znajdowała się między innymi czarna, letnia kurtka oraz plecak typu kostka.

— Rumcajs, Boruch — zwrócił się do pozostałych Pecu. — wy też macie chyba coś do zabrania, prawda? — spytał retorycznie, przekręcając w ich stronę głowę, po czym udał się w upatrzonym przez siebie kierunku, znikając gdzieś za resztkami zniszczonej i częściowo zawałonej ściany.

Nic nie odpowiadając, wywołana dwójka ruszyła po własny ekwipunek.

— Mówię ci młody — zaczął Rumcajs. — To całe przedsięwzięcie to jedno, wielkie nieporozumienie — oznajmił pewnym tonem i rozglądając się na boki czy nikt nie widzi, wychylił pewnym ruchem soczysty łyk ze schowanej w wewnętrznej kieszeni płaszcza piersiówki. Zawarta w niej substancja musiała mocno palić usta i gardło, bo na jego twarzy pojawił

się skwaszony grymas, a on sam musiał brudnym rękawem przejechać po własnych ustach, jak gdyby chciał z nich ściągnąć coś nieprzyjemnego.

— Pogięło cię?! Pijesz tuż przed akcją?! — obruszył się Boruch.

— A co mi tu będziesz pieprzyć? Kolejna przyzwoitka? — obruszył się mocno zarośnięty mężczyzna.

— Nie, ale ... mamy ludzi którzy na nas liczą i naprawdę ... —

— Naprawdę to i tak mamy przesrane — przerwał w pół zdania zaaferowanemu koledze Rumcajs, robiąc zamaszysty ruch ręką z góry na dół, jakby chciał czymś mocno cisnąć o ziemię. — Przestań się łudzić, młody! Nie ma już czego ratować, ani do czego wracać, a ci wszyscy chorzy ludzie... Te umęczone kobiety i blade dzieci.... Myślisz, że jak ich uratujesz? Znajdziesz parę tabletek i zastrzyków, a wszystko stanie się lepsze? To ma im przedłużyć to całe niby życie? — Jego twarz wypełnił pełny pogardy grymas. — O ile? Tydzień, miesiąc, rok? A co potem? — pytał kpiącym tonem ponownie przechylając piersiówkę nad ustami, tak mocno że tym razem płyn w niej się znajdujący zaczął spływać mu po kącikach ust, w dół aż po sam koniec brody, kapiąc z niej intensywnie na samym czubku. Przy tak nikłym świetle i gęstym zaroście Rumcajsa miało się wrażenie, iż ogląda się z bliska górską wodę ściekającą z końcówki stalaktytu.

— To po co z nami poszedłeś, skoro w to wszystko nie wierzysz? — żarliwość w głosie Borucha aż nadto zdradzała jego emocjonalne i pełne zaangażowania podejście do sprawy.

— A co miałem lepszego do roboty? — odpowiedział z nieukrywaną szczerością i cynizmem.

— I to wszystko tak tylko z nudów?! — obruszył się autentycznie i nieco naiwnie młody człowiek.

— Może nie z nudów, ale... no, naprawdę... co miałem robić? Gdybym miał dość jaj, żeby ze sobą skończyć to już dawno palnąłbym sobie w łeb. Siedzieć i patrzeć jak wszyscy w obozie zdychają również nie zamierzam, bo ani mnie nie kręci ludzkie cierpienie, ani nie lubię się maltretować widokiem nieszczęścia. Pić też sam nie będę, bo to już oznaczałoby nałóg — wydymał wargi i uniósł brwi z rozbijającą wprost szczerością. — No to poszedłem z wami, żeby mieć choć trochę rozrywki

w tym swoim nędznym życiu, a więc... zdrowie nam wszystkim! — uniósł piersiówkę w górę i po raz kolejny napełnił usta rozgrzewającym płynem.

— Tylko żebyśmy nie musieli cię taszczyć, bo przysięgam że sam cię zostawię tutaj na środku drogi!

— A gdzie ty tu widzisz środek czegośkolwiek? Chyba środek ciemnej dupy w której jesteśmy! — roześmiał się głośno patrząc w poważną twarz kompana, który nie wzruszył się ani trochę jego żartem. — Dobra, już dobra. Mniejsza. Napijmy się! — podał piersiówkę koledze, ale ten dalej z kamienną i poważną miną dawał do zrozumienia, że nie ma zamiaru spróbować, ani nie pochwała takiego zachowania. — No dobra. Niech ci będzie. To już ostatni od... teraz! — powtórzył, lecz jeszcze szybszym ruchem zrobił to samo co zrobił jeszcze kilkanaście sekund temu, biorąc kolejny łyk wysokoprocentowego napitku.

— No po prostu nie wierzę — pokręcił głową Boruch, patrząc na chwiejącego się towarzysza. — patrzeć się już na to nie da — odwrócił wzrok, gdy akurat doszli do swoich rzeczy. Było to ledwie parę metrów od paleniska, a zdawało się być kilkakrotnie więcej. Wokół pojękiwał lekko wiejący wiatr gdzieś w oddali i smagający niewysokie ruiny budowli pomiędzy którymi się znajdowali. Z im dalszej odległości dochodził dźwięk przemieszczającego się powietrza, tym bardziej czuć było niepokój wszechogarniającej okolicy pustki, czasem tylko wypełnianej odgłosem jakiejś niesionej w oddali puszki bądź kawałka blachy. Nigdy nie można było być pewnym czy rzeczywiście wokół nic się nie dzieje, czy ktoś lub coś nie skrada się właśnie niepostrzeżenie wykorzystując każdy, najdrobniejszy nawet hałas by ukryć dźwięk swoich kroków.

Młodszy z dwójki mężczyzn zaczął grzebać przy ekwipunku. Badał, czy wszystko to, co ze sobą wziął, było na swoim miejscu. Przejechał dłońmi po bocznych kieszeniach, chcąc się upewnić, że nigdzie nie wypadły jego pojemniki z wodą lub też któraś z zapasowych par i tak dziurawych skarpet. Broń nosił zawsze przy sobie. Jej nie odważyłby się nigdzie zostawić. Jednak nawet z nią przy boku czuł dreszcze, ilekroć odchodził od większej grupy, a już zwłaszcza zapuszczając się w zdewastowane okolice centrum niegdyś wielkiego miasta. I choć uważał, iż zawsze lepiej mieć kogoś przy boku, to obecność Rumcajsa ani trochę go nie uspokajała. Bo jak liczyć na kogoś o takim podejściu i w dodatku będącego na najlepszej drodze do nieprzytomności? Przez chwilę myślał,

jakim cudem w ogóle pozwolono Rumcajsowi z nimi pójść, ale momentalnie sobie przypomniał, od razu pochmurniejąc na twarzy. Nie było przecież zbyt wielkiego wyboru...

\*\*\*

Miejsce, w którym na co dzień mieszkali – „obozowisko” byłoby tu chyba najlepszym słowem – nigdy nie było przesadnie bezpieczne, a już na pewno samowystarczalne. Stanowiło jednak jakąś dziwną, można rzec nawet pokraczną namiastkę prawdziwego domu, którego mieszkańcy przywykli do siebie, a nawet zbliżyli mocą wieloletnich wspólnych doświadczeń i problemów, których każdego dnia mieli bez liku. Nigdy nie było to żadne formalne założenie, ani nie posiadało żadnych struktur czy jasno określonych władz, a jednak potrafiło przeżyć te przecież najtrudniejsze z możliwych warunków. Niestety, ostatnimi czasy zaczęło być nawet gorzej niż na co dzień.

O ile do regularnych braków jedzenia czy porządnych ubrań dawało się już jakoś przyzwyczaić, o tyle coraz częstsze problemy zdrowotne, a już na pewno ostatnia epidemia jakiegoś nieznanego im choróbska mocno nadwątlila i tak przecież niezbyt mocną pozycję ich grupy. Nie wiadomo skąd właściwie wzięło się to paskudztwo. Niby jakaś grypa, ale nie idzie się tego pozbyć. Chorują głównie kobiety i dzieci. Mężczyzn i tak wielu nie było, a więc połowę tych sprawnych i zdrowych wysłano po jakieś leki. Jakby to jeszcze było tak proste jak brzmi... nie ma już przecież sklepów, lekarzy, aptek, a i przecież nie wiadomo, czy w ogóle lekarstwa coś pomogą. Tak czy inaczej, musieli spróbować, bo czego trzymać się w takim świecie bez najmniejszego nawet promyka nadziei?

Najbliższy ślad prowadził do starego szpitala na dawnej ulicy Traugutta w mieście zwanym niegdyś Wrocławiem. Tam właśnie leczono ponoć dawno temu mnóstwo dzieci. Siłą rzeczy pierwsze kroki należało więc skierować właśnie do tego miejsca. Może akurat tam coś pozostało? Kto inny bowiem szukałby teraz lekarstw dla nieletnich, o ile budynek ten w ogóle dalej stał? Przecież to i tak tylko kolejne gęby do wykarmienia, które w dodatku trzeba bronić, bo same sobie nie poradzą. Im więcej Boruch o tym myślał tym bardziej zaczynał przyznawać rację

Rumcajsowi, że ich położenie naprawdę nie jest najlepsze, a perspektywy rysowały się w dość ciemnych barwach.

Pamiętał przecież jak często nie jadł i żuł choćby rękawy starej flanelowej koszuli, aby oszukać burczący brzuch. Mijało i kilka dni nim w końcu zdobyli coś, czym można było oszukać żołądek, bo przecież posiłkiem nazwać tego się nie dało. A im więcej ludzi, tym więcej żołądków. Miał sobie za złe, że tak w ogóle kalkulował, tak w ogóle myślał, ale... taka była po prostu prawda. Nie było co się okłamywać. Z drugiej strony nie dawało mu spokoju to, że koniec końców przeżył i dalej walczy, a ktoś inny miałby nie mieć takiej możliwości. Bo czy nie każdy zasługuje choćby na szansę? By choć móc spróbować żyć jak człowiek?

Przed oczami dalej ukazywał mu się w takich chwilach obraz jego dawnej miłości. Pamiętał tę dziewczynę o delikatnych rysach doskonale choć jej imienia nigdy nie wypowiedział, chcąc zapomnieć o niej jak najszybciej. Ciągle bowiem kojarzyła mu się z bólem, jaki rozpalał mu trzewia, gdy wybrała innego. A później jeszcze urodziła mu dziecko... Nie mógł patrzeć na to małe stworzenie, pałając do niego niemalże taką samą nienawiścią, jak do jego ojca. Okropnie jednak szkoda mu było jego matki, gdy ta z powodu tak trudnych warunków nie miała nawet w sobie pokarmu, by nakarmić malucha. Wtedy dopiero zaczął współczuć dziecku i litować się nad jego losem. Tak bardzo ją kochał, że przez miłość do niej był w stanie pochylić się nad losem jej syna.

Sama cierpiała, czasami nie mogąc złapać nawet tchu w chorobie, ale w ogóle się tym nie przejmowała. Najważniejsze było dla niej zdrowie malca. I choć jej wybranek, któremu dała potomstwo zostawił ją, opuszczając obozowisko i nigdy do niego nie wracając, to nie potrafiła o nim zapomnieć, ciągle licząc że może pewnego dnia zjawi się przy wejściu do ich roboczo wykonanego z jakichś starych szmat i koców namiotu. Ciągle jednak się nie pojawiał. Kiedy więc zadecydowano o tym, że wybrańcy udają się do dawnego szpitala w poszukiwaniu leków, Borucha zdziwiło, że ta zrobiła mu się tak przychylna, a nawet chciała mu się oddać. Zdziwienie minęło jednak szybko, gdy zorientował się, iż robi to tylko dlatego, aby zapewnić swojemu dziecku pierwszeństwo przy podziale znalezionych leków, witamin czy innych specyfików. Cierpiał przez to jeszcze bardziej, nie mogąc wyrzucić z głowy myśli, iż chce to robić z nim tylko dla korzyści. Bez uczucia. Bez pożądania... Zgodził się

jednak i obiecał jej przynieść cokolwiek tylko potrzebuje, nie oczekując niczego w zamian. I po prostu odszedł. Jeszcze bardziej pragnął o niej zapomnieć i... jeszcze bardziej nie potrafił tego zrobić. Te jej delikatne i kobiece policzki...

Potrząsnął głową jakby chciał wytrzepać z niej wszystkie gnębiące go myśli. I choć na chwilę się to udało i „odrzucał” ukochaną, to zaraz wyobraźnia zaczęła podsuwać mu kolejne o tych, którzy na nich liczyli. Twarze kilkunastu innych osób, z którymi dzielili wspólne losy każdego dnia. Smutne, wymęczone, pobladłe, głodne, zrezygnowane, opuszczone, zniechęcone, zmartwione, wybiedzone, zmarnowane... Można opisywać i dodawać kolejne synonimy, a i tak nie opisze się dokładnie tego jak przykry był to widok. Czasami Boruch zdawał się to wszystko robić tylko po to, aby zobaczyć w końcu jakiś inny widok, a może i uśmiechnąć. Nie z jakichś wyższych pobudek czy szczególnie empatycznych zapędów. Wręcz przeciwnie. Wyłącznie dla siebie. Całkowicie egoistycznie, aby samemu też móc się uśmiechnąć i nie patrzeć ciągle na te smutne i umęczone mordy... Tak właśnie. Nie twarze. Mordy. Tylko tak można nazwać oblicze człowieka tak przeczolganego przez los. Tylko tak można nazwać oblicze człowieka, którego kochał jak bliźniego swego i jednocześnie nienawidził, bo każde przyglądanie się jemu przypominało mu o jego własnym losie. Dlatego też chciał, aby ta misja się udała. Po to, aby móc samemu sobie poprawić trochę samopoczucie, bo ileż można żyć pośród tylu przygnębionych osób i kobiety, którą się kocha, i którą codziennie spotyka się naście razy z dzieckiem jakiegoś obcego faceta? Przez moment zaczynał rozumieć Rumcajsa i sam poczuł chęć wychylenia jednego głębszego, co jemu samemu też już się przecież zdarzało...

\*\*\*

Wyruszyli niemalże natychmiast, nie zostawiając za sobą niczego. Nawet miejsce po ognisku dogasili do tego stopnia, że nie tliło się z niego nic. Jakikolwiek źródło ciepła przyciąga dzikie zwierzęta, a pewnie i gorsze rzeczy, a tego za wszelką cenę pragnęli uniknąć. Uzbrojeni jedynie w pistolety za paskami, jedną strzelbę dzierżoną przez Peca oraz różnego rodzaju broń białą z ostrymi zakończeniami trzymaną kurczowo w rękach



przemierzali ponure i zdewastowane dzielnice dawniej tętniącego życiem miasta. Jedyne księżyc na niebie zdawał się wskazywać im drogę z czego skwapliwie korzystali. Przygnębiający widok rozerwanych na strzepy niczym szmaciana lalka przez kły wściekłego psa budynków rzucał się im w oczy tylko wtedy, gdy przez jakąś dziurę w budynku lub prześwit w zabudowie wpadała prosta jak strzała i skierowana w dół łuna białego światła.

Zjawisko to jeszcze bardziej podkreślał mocno postrzępiony charakter zabudowy, budząc niepokój w sercu. Czasami gdy wchodzili na jakieś zawalone gruzem i otoczone ze wszystkich stron ruinami podwórko odnosiło się wrażenie, iż te mocno nadszarpnięte kikuty budynków wokół tworząc coś na wzór paszczy jakiegoś upiornego stworzenia, mogącej zamknąć się w każdej chwili pochłaniając ich żywcem.

— Kurewsko tu niepokojąco — skwitował Rumcajs, przystając na chwilę i rozglądając się wkoło.

— Dlatego tym bardziej nie ma co stać i gadać — ponaglił go Borys, nie zatrzymując się ani na moment.

— Co ty nie powiesz... — obliznął wargi i splunął soczyście brodacz.

Szli w miarę wolnym tempem, lecz pewnie. W zwartym szyku, zupełnie jak gdyby bliskość któregoś towarzyszy miała im zapewnić jakąś niewidzialną bańkę przez którą nic nie mogłoby się przedostać do środka. Wiadomo, chcieli dotrzeć do celu jak najszybciej, ale nie mogli też za bardzo forsować tempa. Raz, że mogłoby to powodować większy hałas, a dwa, że mogliby coś przegapić lub nie dostrzec potencjalnego niebezpieczeństwa, co narażało ich na fatalne w skutkach konsekwencje. Było to szczególnie ważne w tych okolicach i nikt nie chciał kusić losu.

Dawno co prawda nie trafili na innych ludzi, mając czasami wrażenie iż nie ma już na tym świecie absolutnie nikogo poza nimi, ale zdawali sobie sprawę, że tak wcale być nie musi. Lepiej było dmuchać na zimne.

— To tutaj — oznajmił Borys.

— Co tutaj? — rozejrzał się wokół, wyęzając wzrok Rumcajs. — Przecież tutaj nic nie ma. Takie same ruiny jak wszędzie.

— Popatrz w dół — po tych słowach wszyscy skierowali wzrok pod swoje nogi, dostrzegając dość sporą wyrwę w asfalcie, obok której znajdowało się okrągłe wieko studzienki kanalizacyjnej, jakich pełno było na ulicach miast.

— I co? Mamy na tym usmażyć pizzę? — rzucił ironiczne spojrzenie spod uniesionych brwi Rumcajs.

— Dalej nie da się przejść. Droga jest zablokowana — zupełnie zignorował zaczepki kompana Borys. — Kudłaty, ten od tej grupy co to trafiliśmy na ich tymczasowy obóz na torach za Mikołajowem, powiedział mi kiedyś, że ciężko dostać się od zachodu na dawny Trójkąt, bo wszędzie same ruiny i gruzowiska.

— Skurwysyn! Prorok jakiś czy co? — podniósł głos i rękę w ironicznym geście Rumcajs.

Reszta ekipy parsknęła śmiechem, lecz szybko zaczęli przybierać normalne wyrazy twarzy. Borys zgrywał jednak kompletnie niezbitego z tropu, ignorując dalej złośliwości pod swoim adresem.

— Chodzi o to że jest szansa dostać się tam normalnie, ale jest to bardzo problematyczne. Tymczasem o tym właśnie miejscu Kudłaty wspominał jako o potencjalnym skrócie. Trzeba tylko zejść do kanałów, przejść kawałek do czwartego wyjścia i tyle. Będziemy praktycznie pod samym szpitalem.

— I rozumiem że cały czas prowadziłeś nas tutaj, nie chcąc nic wytłumaczyć, bo ktoś „wspomniał” ci o tym, że być może trafimy tutaj na jakiś skrót? — mówił spokojnym, lecz wyraźnie poirytowanym tonem Rumcajs.

— Tak czy inaczej musielibyśmy przedzierać się przez okolicę. Uznałem że jeśli zrobimy kilkanaście minut drogi w bok, to nawet jeśli wersja Kudłatego okaże się nieprawdziwa, to nie będą to wielkie straty w zamian za potencjalne korzyści. I co? Mówił jednak prawdę. Było więc chyba warto, nie?

Pozostali popatrzyli na siebie z bliżej nieokreślonymi wyrazami twarzy.

— Nie mogłeś nam tego powiedzieć wcześniej? — zabrał głos, pytając spokojnie Peca.

— A zgodzilibyście się na to?

— Nie — bez wahania odpowiedział Rumcajs.

— No właśnie. Nawet teraz widać w was wątpliwości.

— Dziwisz się? Mamy schodzić do kanału, cholera wie gdzie, wierząc w opowieści jakiegoś obcego kolesia?

— A jaki miałby interes w tym, żeby nas oszukiwać? — bronił swojej decyzji Borys.

— Nawet jeśli by nie oszukiwał, to może tak o po prostu sobie gadał? Mało masz pieprzonych mitomanów co to lubią koloryzować każdą historię? I co wtedy? — zaczął się irytować spokojny do tej pory Peca.

— No po co miałby...? — jego podnoszący się z rosnących emocji głos przerwał nagle Boruch.

— Cicho! — rzucił krótkim stanowczym tonem, podnosząc rękę. — Słyszycie to?

Mężczyźni spojrzeli na siebie nerwowo i momentalnie odwrócili o sto osiemdziesiąt stopni. Przyłgnęli do siebie plecami, a każdy miał wzrok skierowany w inną stronę. Wyćwiczony manewr. Jego cel był prosty — nie dać się zaskoczyć z żadnej strony i rozpoznać zagrożenie. Gęsty mrok tylko gdzieś tam rozjaśniało niemrawo przebijające się przez szczeliny w budynkach światło. Cisza. Nic.

— Nic tam nie ma. Po cholere wprowadzasz zamęt — zirytował się Rumcajs i oderwał od skłębionych kompanów, robiąc dwa kroki w przód. Nie minęły jednak dwie sekundy, gdy wrócił z powrotem do szyku niczym poparzony, kurczowo przylegając do reszty. Wszystko z powodu jakiegoś odległego dźwięku, przypominającego odgłosy przesuwanego bo asfalcie gruzu.

— Dobra. Mój błąd — podenerwowany przyznał rację Boruchowi.

Stali tak nieruchomo, nasłuchując i pomału szykując broń. Wyciągali wolnym ruchem pistolety zza pasków i chwytali mocno w dłoń, ściskając z całych sił. Hałasy się nie powtórzyły. Znów było cicho. Minuta, dwie, trzy. Nic.

— Chyba już — oznajmił mimo wszystko niepewnym głosem Borys.  
— Pewnie jakiś pies. Zbłąkany lub głodny, szukał czegoś do jedzenia.

— Może być. Nie mam zamiaru jednak się o tym przekonywać. Poświęć na tę studzienkę — nakazał Peca Boruchowi, a ten niemalże natychmiast skierował strumień światła swojej latarki we wskazanym kierunku

Sprzętu tego praktycznie nie używali. Dziś w ogóle. Był on niemalże równie cenny jak broń. Oszczędzało się go więc do maksimum, a każde użycie wynikało z wyższej konieczności bądź zagrożenia. Borucha zdziwiło jednak, że zazwyczaj chłodno myślący i spokojny Peca tak szybko zechciał użyć latarki. Naprawdę tak przejął się jakimś psem?

— Są w niej duże dziury. Wsadź tam któryś łapy i podniesiemy to wieko bez problemu — schylił się i złapał od jednej strony, a Borys zrobił to samo z drugiej.

Kiedy zaczęli unosić włącz, uszu ich dobiegł ten sam znajomy dźwięki przesuwanego po ziemi gruzu. Tym razem jednak ze znacznie bliższej odległości i dużo bardziej agresywny w swej naturze. Podnoszący słusznej wagi przedmiot mężczyźni zamarli w ruchu, jakby w ogóle nie przejmując się dzierzonym w rękach ciężarem. Bacznie nasłuchiwali. Znowu nic. Głucho. Po kolejnych kilkudziesięciu sekundach wrócili do rozpoczętej czynności. Gdy już podnieśli włącz i dopiero co złożyli go na kawałku asfaltu obok po ich plecach przebiegł zimny dreszcz przerażenia. I to nie z powodu potwornego odoru wydobywającego się kanałów pod nimi. Serca ich lękiem napełnił krótki przeraźliwy jęk, przechodzący szybko w mieszankę czegoś przypominającego zawrodozenie i sapanie. Echo niosło te plugawe dźwięki pomiędzy ruinami, także naprawdę trudno było ustalić ich dokładne źródło. Boruch nie wytrzymał i skierował światło latarki w mrok. Przez swoje podenerwowanie kierował strumień światła wszędzie, tylko nie w jakieś jedno, konkretne miejsce.

— Co ty robisz do cholery?! — nerwowo chwycił go za rękę Peca wymuszając na nim skierowanie światła w dół. — Chcesz od razu podać nas jak na tacy?!

Zapewne krytyka pod adresem kolegi trwałaby dłużej, gdyby nie to że niepokojące odgłosy przeszły w naprawdę nietypowy, niesłyszany

nigdy wcześniej przez nich charkot. Tym razem jednak zdawał się dobywać, gdzieś z boku i jakby... z kilku innych miejsc.

— W mordę ... jest tego więcej ... — denerwował się Rumcajs.

— ...albo jeden cholernie szybki ... — podzielał niepokój Borys

Wydawało się, że całość trwała bardzo długo, gdy tak stali, próbując ustalić skąd nadchodził hałas, lecz tak naprawdę nie minęło więcej niż parę sekund. Kolejne jęki, coraz częstsze i agresywniejsze szuranie, aż w końcu poczuli się jakby byli otoczeni, zamknięci w jakiejś pułapce bez wyjścia z którejkolwiek strony.

— Pieprzyć to. Nie wiem na co my tutaj czekamy. Spieprzajmy stąd! — nie czekając na nikogo, Rumcajs władował się do kanałów przez wąskie zejście i zaczął energicznie schodzić po drabince. Pozostali spojrzeli na siebie wymownie, gdy nagle tuż jakby na skraju czegoś w rodzaju podwórka lub placyku na którym stali, rozległ się odgłos czegoś ciężkiego upadającego na ziemię. Zupełnie jakby ktoś przewrócił kosz na śmieci, co nie byłoby pozbawione sensu biorąc pod uwagę lekko metaliczne brzmienie upadającego, ciężkiego przedmiotu. Po paru sekundach do tego dźwięku dołączył inny, znany już im złowieszczy charkot, lecz tym razem jakby jeszcze agresywniejszy i złowrogi. Zdawało się, że ten ktoś lub to coś, co go wydobywa, jest już dosłownie kilkanaście metrów od nich, niemalże na wprost. Boruch wykonał ruch ręką jakby chciał skierować w tą stronę światło latarki, ale Peca go powstrzymał.

— Zostaw. Nie ma czasu. Nic tu po nas. Szybko na dół! — na te słowa rzucili się jeden po drugim, przepychając jakby mieli się tam wszyscy naraz zaklinować. Pierwszy jednak pognął Borys, a za nim pozostała dwójka.

— Właz! Chwytaj za właz! Nie możemy pozwolić by coś tu za nami weszło! — ponaglił Borucha starszy kolega i wspólnymi siłami zaczęli zasuwać ciężkie wieko nad swoimi głowami.

Udało się. Po parunastu sekundach byli już schowani i bezpieczni. Nie wiedząc nawet, kiedy Boruch zdał sobie sprawę, że ktoś wziął jego latarkę. Była to sprawka Borysa, który już oświetlał drogę w kanale

— Co to kurwa było? — powiedział jakby do siebie nowy właściciel latarki.

— Co to było? Co *to* kurwa jest? — pomieszczenie wypełnił dźwięk chlupiącej wody, którą w ruch wprowadził poruszający się Rumcajs. Zagłuszał on całkowicie jeszcze do niedawna ledwie słyszalne jęki z nad ich głów.

Wszyscy stali bowiem w brudnej, ciemnozielonej cieczy do wysokości rejonów własnych pasów.

— To w ogóle jest woda? — pytał Boruch.

— Może kiedyś. Teraz to jakiś szlam — patrzył na podniesiony przed oczy wodorost Peca.

— Ja pierdołę... a jak mi fiut od tego odpadnie?! Mam wszystko mokre od pasa w dół! — krzyczał wyraźnie przejęty Rumcajs.

— Módl się, żeby nie weszło ci w dupę, bo jeszcze puścisz pędy paproci — machnął ręką Borys.

— Lepiej żeby żaden z nas tutaj nie zostawał zbyt długo, bo faktycznie możemy zapuścić tu korzenie — starał się jakoś ogarnąć działania grupy Peca. — Jak to było? Czwarte wyjście?

Borys pokiwał przytakująco głową.

— No to idziemy. Lepiej nie zostawać w jednym miejscu. Zwłaszcza tutaj.

Ruszyli zwawo jeden po drugim. Światła latarek prześwietlały tunel na prawie całej jego długości, gdzieniegdzie tylko zostawiając ciemne fragmenty, do których ze względu na pokrzywioną powierzchnię pomieszczenia nie były w stanie dotrzeć. Było spokojnie. Nic nie blokowało drogi, a w oddali nie było widać nic niepokojącego. Co prawda unoszący się wszędzie dookoła smród był nie do opisanego, ale z czasem dawało nawet i do niego się przyzwyczaić. Raz na jakiś czas wchodzili nieco wyżej tak, że brodzili już tylko po kolana, albo nawet łydki, ale zaraz potem znów musieli schować się w wodzie aż po pas, albo nawet trochę wyżej. A była ona naprawdę chłodna, co zaczęli odczuwać dopiero po kilkunastu minutach, gdyż wcześniej byli tak naładowani emocjami, że zapewne nawet mroźna śnieżycy nie byłaby w stanie zrobić na nich najmniejszego wrażenia.

— No dobra. Jest i czwarte wyjście. Wygląda na to, że wszystko idzie tak jak powinno — oznajmił tryumfalnie Borys, ściągając skrawkiem rękawa irytującą go wodę ze skroni.

— Taa... Życie jest piękne — pokiwał pogardliwie głową Rumcajs, myśląc tylko o tym, aby jak najszybciej wydostać się z kanału.

Borys jako pierwszy wdrapał się już po schodkach na górę i wypychając wieko studzienki lekko wychylił się, rozglądając po okolicy.

— Wygląda na to, że droga czysta — oceniając sytuację, zaczął pomалу wychodzić na powierzchnię.

— Słyszeliście — odwrócił się do reszty Pecu. — Nie ma na co czekać.

— Za nic nie mógłbym przecież przegapić nawet najmniejszego fragmentu tej całej wycieczki — burcząc pod nosem gramolił się na górę Rumcajs.

Jeden po drugim szczęśliwi opuszczali kanały, choć te w sumie były dla nich dużo łaskawsze do tej pory niż to co napotykali na powierzchni. Każdy z nich liczył jednak w głębi duszy, że trend ten się odwróci i już spokojnie będą mogli poświęcić się tylko celowi swojej wyprawy. Tego jednak nikt już nie mógł im zagwarantować...

\*\*\*

W końcu znaleźli się w pobliżu budynku dawnego szpitala. Okolica była pokryta mleczno-szarą mgłą, ograniczającą pole widzenia najwyżej do paru metrów. Jednak nawet pomimo takich warunków atmosferycznych i dość ciemnej nocy dawało się dostrzec resztki niegdyś zapewne czerwonej dachówki pokrywającej dach wiekowego budynku. Lekki wiatr hulający po pustych ulicach niósł kurz i drobne, lecz ostre pyłki piachu, które obijały się o ściany okolicznej zabudowy oraz obudowy stojących wszędzie wokół opuszczonych aut. Dźwięk ten przypominający szuranie przywoływał na myśl niepokojące odgłosy, które

towarzyszyły grupie podczas ich wyprawy, powodując mimowolne ciarki na plecach.

Nie podziwiali jednak tych wszystkich widoków zbyt długo, gdyż od razu skupili się na przedostaniu do wnętrza szpitala. Po kilkunastu minutach obserwacji okolicy i struktury budynku udało im się dostrzec niewielką wyrwę w zabudowie przez którą dostali się do wnętrza sąsiedniego budynku, a z niego, wydostawszy się błyskawicznie drugą stroną przedostali na niewielki dziedziniec szpitalny. Wszystko szło doprawdy dużo sprawniej niż zakładali, a w okolicy zdawało się nie tylko nie być żywego ducha, ale wszystkie ślady, a konkretnie ich brak, wskazywały na brak jakiegokolwiek ludzkiej obecności na tych terenach przez wiele lat. To co jednak było najbardziej w tym wszystkim niezwykle to fakt, że nie musieli w żaden ekwilibrystyczny sposób, czy to, wspinaniem, włamywaniem, korzystaniem z sąsiednich dachów, bądź też jakimkolwiek innym podobnym sposobem próbować dostać się do wnętrza budynku. Stał on bowiem otwarty, jakby wręcz zapraszając ich do zwiedzania i dowolnego korzystania ze wszystkich zasobów, które znajdowały się w środku.

— Kto by pomyślał, że służba zdrowia może być tak przyjazna pacjentowi — rzucił Rumcajs popychając lekko drzwi wejściowe do przodu.

— A skąd to możesz wiedzieć? — szczerze zastanawiał się Borys.

— Ojciec opowiadał mi kiedyś, że jako młody chłopak złamał nogę. To było na krótko przed tym wszystkim. W sumie dlatego przeżył, bo wakacje spędzał z nogą w gipsie w górach u dziadków, a ci schowali się w jakimś starym, okolicznym ponemieckim bunkrze, głęboko pod ziemią. Jaka jednak była prawda, to kto wie i kto teraz tego dojdzie? Mniejsza jednak o to. W każdym razie ponoć cztery razy jechał do szpitala z tą nogą, zanim w końcu go przyjęli i poskładali.

— Jak to w ogóle możliwe? — dziwił się autentycznie Boruch.

— Ponoć to nie było nic nadzwyczajnego. Za pierwszym razem stwierdzili, że to pijak, to go nie przyjęli. Niby coś tam popił domowego wina z jarzębiny i dlatego spadł ze schodów, łamiąc nogę. No ale jednak... chyba powinni go poskładać, nie? — Uniósł brwi w wymownym geście, wzruszając ramionami i rozkładając dłonie.



— No tak. Gdybyś nie był jego synem, to można by mieć wątpliwości co do tej historii — nie dał rady się powstrzymać Borys.

— A pozostałe trzy? — od razu ukrócił niedoszłą wymianę zdań Boruch.

— No ponoć na drugi dzień jak całkiem otrzeźwiał, to tak go skręcało z bólu, że od razu wieźli go na pogotowie, ale znowu niefart i ponoć naprzykrzał się jednej z pielęgniarek, gdy trochę go morfiną postawili na nogi. To ta zadzwoniła na policję, że niby ją molestują, a ci... zgarnęli go bo uznali, że pewnie jakiś bezdomny pijak, co na chwilę otrzeźwiał, zapełnia sobie czas macaniem kobiet.

— No tak. Jak mogli... — pokiwał głową wymownie Borys.

— A później... — zignorował go Rumcajs. — Później to już ponoć tylko błąd w systemie, że nie ma ubezpieczenia zdrowotnego. W końcu moja babcia ponoć powiedziała, że zapłaci mu za prywatną wizytę, ale gdy już zapłaciła zaliczkę okazało się, że odnalazło się jego ubezpieczenie i może trafić na stół. I w końcu poskładali mu tę nogę, choć też ponoć chcieli leczyć nie tę co trzeba...

— Dobra już... starczy tego. Jak się tego słucha to samemu chce się pochlastać. Mamy poza tym teraz inne rzeczy na głowie — wtrącił się, spokojny do tej pory Pecu.

— Może to i lepiej, że zrównano te budy z ziemią — podsumował krótko patrząc na budynek szpitalna Rumcajs.

Kiedy już przeszli przez drzwi wejściowe i minęli recepcję, znaleźli się na dużym korytarzu w kształcie litery „L”. Kafelki, obdarte ściany i pełny wilgoci sufit tworzyły raczej mało przyjazny i wyjątkowo chłodny krajobraz. W pierwszej chwili można było poczuć się tutaj raczej jak kompletnie niechciany gość. Stali przez chwilę starając się rozeznaczyć w otoczeniu. W tym momencie mieli tylko dwie możliwe drogi do przebycia. Po krótkiej naradzie postanowili się rozdzielić, aby spenetrować jak największy obszar celem znalezienia jakiegoś składu lekarstw, magazynu bądź innego pomieszczenia z lekami, które mogłyby im się przydać. Zaplanowali iż spotkają się w tym samym miejscu za około pół godziny i zdecydują co dalej. Pecu i Rumcajs mieli szukać razem i udać się na lewo, a Boruch z Borysem na prawo.

— Nie sądzisz, że póki co idzie trochę... za łatwo? — zapytał Boruch niepewnym głosem, gdy oddali się już trochę od pozostałych i we dwójkę kroczyli ciemnym korytarzem.

— W sumie sam nie wiem czego mielibyśmy się spodziewać — wzruszył ramionami, odpowiadając zgodnie z tym co uważał.

— No tak, ale wiesz... Jest tu jakoś tak... No nie wiem...

— Dziwnie? — spojrzał na niego kątem oka, podnosząc głos. — Zgadzam się. Czuć w powietrzu jakby wydarzyło się tu coś niedobrego. I nie chodzi tutaj o koniec świata.

— Jak to w ogóle brzmi. Koniec świata... przecież się nie skończył. Zawsze mówicie to tak, jakby to już był koniec wszystkiego. A my przecież żyjemy! — obruszał się za każdym razem, kiedy słyszał to sformułowanie.

— Racja. Wiesz, wydaje mi się że to taki termin ukuty przez tych, co pamiętają jeszcze czasy sprzed tego wszystkiego. To był dla nich, jakby nie patrzeć, koniec świata. Ich świata.

— Może i tak. My chyba powinniśmy jednak do tego trochę inaczej podchodzić.

— I tak robimy. Jesteśmy tutaj. Nie poddajemy się. Walczymy. Co innego robić? — zdawało się jakby ostatnią wypowiedź kierował w równym stopniu do kolegi, jak i samego siebie.

— W sumie — zamyślił się na chwilę. — Sam bym chyba nie wiedział co.

— No właśnie — przytaknął Borys i w ciszy kroczyli dalej.

Obydwaj zaniechali dalszej rozmowy, czując jak przepelnia ich jakieś dziwne, bliżej nieznane i trudne do opisanie uczucie. Z każdym kolejnym krokiem w głąb tego specyficznego budynku zdawali się zagłębiać jakby w inny wymiar, gdzie następowało jakieś dziwne zagięcie czasoprzestrzeni, w którym łączą się ze sobą różne światy, przenikające się nawzajem. Być może dlatego, że był to pierwszy taki stary budynek w którym wszystko było w miarę znośnym stanie lub dlatego że po raz pierwszy szło im naprawdę dość łatwo podczas eksploracji nowego miejsca. Żaden z nich nie potrafił jednak wyzbyć się dziwnego przeświadczenia, że przenika ich,

trudna do wychwycenia i opisanie słowami aura — jakby nie tyle ich ktoś obserwował, lecz po prostu nie spuszczał z oka lub nie pozostawiał samych sobie. Cokolwiek nie byłoby prawdą, obydwaj czuli jak po plecach spływają im strużki potu, a włosy lekko jeżą się tym bardziej im dalej tylko zapuszczali się w głąb budynku pełniącego dawniej funkcję szpitala.

\*\*\*

Przeszukiwali każde napotkane pomieszczenie. Jedyne, co do tej pory odkryli, to łóżka, szafki, okna z kratami pośrodku, jakieś wózki inwalidzkie, parę reklamówek, pustych plastikowych butelek, maskotki, zapiski lekarskie, i tym podobne. Słowem, nic co mogłoby im się przydać. Po przeczesaniu kilkunastu lub nawet już kilkudziesięciu podobnych pokoi zaczynali odczuwać pomału rezygnację i zniechęcenie, wątpiąc iż uda im się znaleźć coś pożytecznego.

— Albo uciekali stąd w popłochu i zabrali ze sobą wszystko co tylko mogli udźwignąć, albo jednak ktoś nas ubiegł — wydawał się być wyjątkowo niepokieszony Borys.

— Wiesz, jeśli ten cały Kudłaty znał skrót, albo usłyszał o nim od kogoś, to może właśnie dlatego że ktoś już tutaj wcześniej był i opróżnił to miejsce.

— Na pewno nie — zaprzeczył błyskawicznie i stanowczo, co bardzo zaciekało Borucha.

— Jak to na pewno nie? Skąd ta pewność? — zmarszczył dociekliwie brwi.

— Po prostu. Mówił że nigdy tu nie był.

— I tak po prostu wiedział jak tu dotrzeć? I sam lub ze swoimi ludźmi nie próbował zdobyć części tego wszystkiego o czym tobie naopowiadał? — nie ukrywał kompletnej niewiary w taki obrót spraw, okraszając to nawet głośnym prychnięciem.

— Możliwe.

— Pieprzenie! Chyba nie sądzisz, że uwierzę w tę ściemę. Widać, że wiesz coś więcej. Po prostu powiedz! — wyraźnie uniósł się młodszy z mężczyzn.

Borys nabrał tylko głęboko powietrza w płuca, po czym buchnął mocno i głośno całym powietrzem, jakby chciał wyzionąć z siebie jakiś głęboko zalegający i kłujący przedmiot.

— Ty naprawdę coś wiesz...

— Słuchaj... naprawdę, to nic nie wiem. Serio — zarzekał się z uniesionymi rękami demonstrując prawdziwość własnych słów. — wszystko to czcze gadanie i tyle.

— Jakie wszystko?

— No o tym miejscu i o tym, co tu się działo.

— A co się miało tutaj dziać? — zaczynał się wyraźnie niepokoić Boruch.

— Nikt tego nie wie. Po prostu. Ponoć całe to miejsce opustoszało nagle i po nikim nie został nawet ślad. Nie ma żadnych wskazówek co mogło tutaj się wydarzyć — tłumaczył nerwowo, jakby próbując sklecić różne wersje w spójną całość. — Kudłaty mówił tylko tyle, że nie zna nikogo kto odważyłby się tutaj szukać czegokolwiek. Jedni mówią, że tu straszy, inni że to miejsce jakiegoś kultu, a jeszcze inni że mieszkają tu jakieś mutanty pożerające ludzi... Ogólnie bujdy i pijackie gadanie. Ale urosło to w sumie do rangi jakiegoś mitu czy tam legendy, którą sobie ludzie przekazują i przez to każdy boi się tutaj zajrzeć.

— I oczywiście o tym także nie raczyłeś nam wspomnieć?! — zdenerwowany wykonał ruch w stronę Borysa.

— A co tu mówić? O jakichś historiach wyssanych z palca? O tym, co mającą sobie przy ognisku i wódzie wędrowcy?

— A nie przyszło ci do głowy, że może coś jest na rzeczy?!

— Że co? Duchy? Zjawy? Może jeszcze wilkołaki o pełni księżyca?! O czym ty gadasz? Po cholere w ogóle wspominać o takich głupotach?! — teraz i on zrobił krok w kierunku towarzysza.

— Dobrze wiesz, że nie o to chodzi. Tylko o sam fakt. O informację, że coś z tym miejscem może być nie tak! — zaczął wchodzić pomału w coraz głośniejsze tony Boruch.

— A co to by do cholery miało zmienić?! Przecież i tak nie mamy wyjścia i musieliśmy gdzieś szukać! — dostosowywał się do poziomu emocji i intensywności wypowiedzi rozmówcy Borys.

— Ale może wtedy... — przerwał w pół zdania i zamarł w bezruchu, gdy nagle z sąsiedniego korytarza dobiegł dźwięk czegoś metalowego upadającego o ziemię.

Obydwaj na chwilę stanęli jak wryci. Nie wydali żadnego dźwięku, ich twarze nie pokrył żaden grymas, zdawali się nawet zatrzymać oddychanie i bicie serc. Cisza. Jakby nic.

Borys wykonał krótką sekwencję gestów dłonią dających do zrozumienia, że muszą sprawdzić co się stało, zachowując przy tym maksymalną ciszę. Zaczęli więc od skierowania się do drzwi pomieszczenia w którym się znajdowali, podchodząc do nich z dwóch stron. Stanęli przy framudze, wyteżając kątem oka wzrok tak mocno, iż patrząc z drugiego boku można by odnieść wrażenie, iż ich oczy posiadają same białka. Borys skinął na Borucha dając mu do zrozumienia, że on wyjrzy pierwszy. Nie bez uczucia ulgi młodszy z mężczyzn przystał na tę propozycję. Borys wychylił się więc delikatnie, patrząc na korytarz. Było jednak ciemno i nie był w stanie nic dostrzec. Nie odrywając wzroku, sięgnął do paska przez który miał przełożony swoją latarkę. Chwycił przedmiot mocno w dłoń, trzymając się go kurczowo, po czym wziął głęboki wdech i włączwszy światło skierował jego strumień na korytarz.

— O ja pierdołę... — wydobył z siebie na pełnym wydechu wyrzucając z siebie całe zgromadzone w płucach powietrze.

— Co jest? — szeptał Boruch, jakby nie chciał w ogóle otwierać ust.

— Nic... To tylko pieprzony szczur.

— Szczur? Tak... widziałem jak zapieprza wzdłuż korytarza ze swoim ogonem. Przecież nie tak trudno się tu dostać, nie? Dla niego tym bardziej to żaden problem. Musiał przewrócić, jakieś naczynie lub nóż czy inny skalpel na szafce i sam się wystraszył tego hałasu.

— Ufff... duchy, tak? — uśmiechnął się w kąciku ust.

— A daj spokój... — odwzajemnił grymas Borys. — Chodźmy dalej. Nie chcę siedzieć w tym pokoju ani sekundy dłużej.

— Pełna zgoda — przytaknął i pierwszy opuścił pomieszczenie. Borys nie pozostawał daleko za nim.

\*\*\*

W końcu dotarli do miejsca, gdzie musiało dawniej znajdować się czyjeś biuro. Pełno w nim było różnego rodzaju folderów, plików papierów, teczek, notatników i tym podobnych rzeczy. Nie spędzili tam jednak dużo czasu, gdyż szybko zdali sobie sprawę, że nie znajdą tam czego potrzebują. Jedyne co zaciekało Borucha, to fotografia która leżała przodem do blatu biurka. Dopiero po jej podniesieniu wyłonił się obraz kobiety i dwójki małych dzieci na jakimś moło nad wodą. Zapewne była to rodzina osoby do której należało biurko. Przez chwilę zastanawiali się czy dzień w którym przewróciła się ta fotografia nie był ostatnim, w którym się widzieli? Czy w ogóle później się odnaleźli? Czy którekolwiek z nich jeszcze żyje? Zabawne jak coraz bardziej zaczęli odtwarzać historię ludzi ze szpitala poprzez zwykły kontakt z przedmiotami do nich należącymi. Zdawało się jakby każdy z nich mógł opowiedzieć jakąś historię lub chociaż naprowadzić ich na jakiś ślad lub trop z przeszłości. Na wszystkim przecież pozostaje po nas jakiś ślad, czyż nie? Zastanawiał się Boruch. Przecież samo biurko czy stół są tylko kawałkami drewna, którym ktoś nadaje sens i znaczenie w momencie, wówczas gdy zechce połączyć je w jakiś kształt lub formę. To ona nadaje im przeznaczenie. Bez ludzi te rzeczy nic nie znaczą. Nie mają racji bytu i istnienia. Znajdowali się więc w miejscu pełnym historii i tajemnic, gdzie wszystko mówiło, albo nawet krzyczało im o konkretnych zdarzeniach. Problem polegał na tym, iż nie znali języka, który pozwoliłby im to wszystko zrozumieć i odczytać.

Każdy ich ruch zdawał się być niczym fragment szerszej konwersacji zawieszony w czasie i przestrzeni, wyrwanej z kontekstu, a jednocześnie będącej polem wymiany poglądów dwóch różnych światów.

Po korytarzach niosło się echo niepewnych i ostrożnych kroków dwójki mężczyzn. Zastanawiali się ciągle gdzie podzieli się pozostali – lekarze, pacjenci, pielęgniarki, dzieci... Ani śladu żywej duszy, a jednak czasem odnosili wrażenie, że choć wiedzieli które kroki są ich, to ich echo nie należy do nich, lecz tych wszystkich którzy po raz ostatni wychodzili z tego miejsca w przeciwnym kierunku.

Nie wiedząc nawet, kiedy od tych rozważań znaleźli się w pomieszczeniu, które było dawniej zapewne szatnią lub przebieralnią. Musiało w każdym razie służyć podobnym celom, gdyż pełno było tu rozmaitych metalowych szafek, półek oraz wieszaków na których spoczywały jeszcze jakieś stare ręczniki. W oddali wypatrzyli nawet wejście na salę operacyjną, a przynajmniej strzałkę wskazującą kierunek dojścia do niej. Po rozejrzeniu się po nie wiadomo już którym miejscu w tym budynku uznali, że dalsze poszukiwania chwilowo nie mają sensu i że czas wrócić do pozostałych. I tak już przekroczyli planowany czas spotkania, więc Pecy na pewno da im wykład na ten temat. Borys oznajmił Boruchowi, że czas się zbierać, kiedy ten znajdował się po drugiej stronie szatni. Chociaż nie był zbyt zadowolony z takiego obrotu sprawy, to wiedział że nie bardzo mają wyjście i przynajmniej na razie trzeba odłożyć poszukiwania. Spuścił głowę i zaczął zrezygnowany kierować się do wyjścia.

Kiedy już szykował się do opuszczenia pomieszczenia zamarł w bezruchu. Usłyszał krótkie, pojedyncze, lecz mocne uderzenie. Za jego plecami. Jakby coś walnęło o jedną z szafek. Serce waliło mu jak opętane. Bał się choćby drgnąć. Cisza. Nic. Po chwili napięcie w mięśniach zaczynało lekko odpuszczać, a on sam zdobył się na niewielkie, nieśmiałe ruchy. Zaczął obracać się centymetr po centymetrze. W końcu ustawił się całkowicie w stronę, która przed chwilą była za nim. Skierował przed siebie światło latarki, ale nie dostrzegł absolutnie niczego. Pomieszczenie wyglądało dokładnie tak samo jak parę minut wcześniej. Coś jednak przecież uderzyło w tę szafkę – ta myśl nie dawała mu spokoju. On sam nie należał do przesądnych i nie wierzył w żadne widma i zjawy, ale teraz czuł, że coś zasiewa w nim ziarno niepewności odnośnie tej kwestii.

Przejechał nerwowo światłem po okolicznych szafkach. W jednej z nich dostrzegł coś co go zaciekało. Odkształconą blachę, a konkretnie wybrzuszenie, zupełnie jakby powstało od środka, a nie od zewnątrz.

Odetchnął momentalnie z ulgą wypuszczając z siebie mocnym wydechem powietrze. To pewnie coś w środku się przewróciło i uderzyło w szafkę. Poczuł jakby serce zaczęło spowalniać swoje bicie. Nie mógł jednak oprzeć się wrażeniu, że z innymi szafkami także jest coś nie tak. Dopiero teraz zaczął to zauważać, choć wcześniej przeszedł obok tego faktu obojętnie. Wszystkie posiadały bowiem podobne ślady, lecz w nieco różnych miejscach. Jedne wyżej, drugie niżej, inne pośrodku, raz w większych odstępach, raz w mniejszych. Dziwne, ale być może podczas bombardowań, gdy wszystko drgało trzęsącą się ziemia powodowała, że to co było w środku walało się w różne strony z dużą mocą? Tak przynajmniej sobie to tłumaczył. Niemniej ogarniała go narastająca chęć zajrzenia do jednej z tych szafek. Może było w nich coś cennego? Może jakiś sprzęt medyczny lub lekarstwa po które w końcu tu przyszli? Postanowił dać ciekawości za wygraną.

Szafka ku której się skierował nie była zabezpieczona żadną kłódką. Posiadała jedynie prostą gałkę, która po przekręceniu w jedną stronę zamykała zamek, a po przekręceniu w drugą go otwierała. Chwycił więc za rączkę i przekręcił w prawo. Ani drgnie. Zamknięta i pewnie w tym kierunku właśnie się zamykała. Pomału zaczął kręcić w drugą stronę. Z niewielkimi oporami, ale coś drgnęło. Mechanizm zaskrzypiał lekko, zdradzając iż nikt go nie smarował, ani nie dbał przez dziesiątki lat. Po krótkiej chwili coś załomotało jakby w środku zderzyły się ze sobą dwa kawałki metalu. Boruch od razu skojarzył, iż dźwięk ten musiał oznaczać otwarcie zamka. Nie mylił się. Pomalutku zaczął więc rozchyłać drzwiczki szafki...

Przez rozrastający się otwór zaczął wydobywać się niewyobrażalny smród. Ledwo wytrzymując ten odór, pokaszując cicho Boruch skierował światło latarki do środka. Wisiało ono jednak w powietrzu nie więcej niż ułamek sekundy, gdyż na jego końcu dostrzegł on coś w rodzaju twarzy, lecz o niemalże pustych oczodołach i całkowicie zdartej skórze twarzy, na której gdzieś spoczywały leniwie niezwykle rzadkie włosy. Widok ten tak przeraził Borucha, że ten aż krzyknął ze strachu, po chwili niemalże dławiąc się z przerażenia, gdy owe „odkrycie” zdawało się niemalże rzucić na niego z wnętrza szafki. Poczuł na klatce piersiowej ciężar znaleziska i w potwornym strachu, i pełnym paniki odruchu obronnym odrzucił coś podobnego do lalki lub kukielki jak najdalej od siebie. Dyszący i kompletnie wystraszony odskoczył i uderzył plecami w



kolejną szafkę, nerwowo próbując znaleźć swoją latarkę. Machał tak długo dłońmi po podłodze, jak gdyby nie chciał opuszczać wzroku, aż w końcu znalazł zgubę. Chwycił ją mocno niczym najcenniejszą broń i starał się pomалу uspokajać oddech.

Po chwili zaczął świecić dookoła szukając źródła swego przerażenia. Skierował światło na prawo i od razu trafił tam na bezruchu leżącą postać. Choć groteskowo powykrzywiana budziła więcej lęku i grozy niż śmiechu. Przyglądał się niemrawo spoczywającej sylwetce jakby chciał poznać każdy jej szczegół. Wykonał parę kroków do przodu, a padająca na wprost łuna światła zaczęła odkrywać coraz więcej przerażających szczegółów odnalezionego ciała. To było dziecko...

Zamarł kompletnie, jakby padł trupem na stojąco. *To były zwłoki jakiegoś dziecka* – powtarzał do siebie w myślach setki razy z prędkością światła, że aż słowa te zdawały nakładać się na siebie. Choć widział je z boku był w stanie stwierdzić to bez cienia wątpliwości. Rozmiar, budowa, kształt... Wszystko to potwierdzało jego ocenę sytuacji. Kiedy w końcu udało mu się podejść tak blisko by ręką sięgnąć nieruchomo leżącego ciała, przekreślił je w swoją stronę. Choć spodziewał się czegoś makabrycznego, to to co zobaczył przeraziło go jeszcze bardziej niż był w stanie to przewidzieć.

– Kompletnie wysuszone, nawet z oczu nic nie zostało. Oczodoły puste, skóry praktycznie brak. Jakby się temu nie przyglądać, to żyć się odechciewa – podsumował poważnie jak nigdy Rumcajs. Boruch nie zauważył nawet kiedy ten znalazł się koło niego. Po chwili dostrzegł tam także Peca i Borysa. Pozostała dwójka musiała zacząć ich szukać zaniepokojona długim czekaniem na nich, aż w końcu trafili w to samo miejsce.

– Ale jak? Po co? – nie mógł dalej uwierzyć młody mężczyzna.

Stali tak jeszcze chwilę bez słowa, gdy Rumcajs postanowił w końcu zabrać głos.

– Popatrz na te palce... Ręce... Nogi. Jezu Chryste... – wskazywał palcem na dziwne ubytki tkanki w wymienionych obszarach ciała

– Od czego to? – starał się dojść do zmysłów, choć dalej głos mu drżał, przez co brzmiał jakby mocno dyszał.

— Od głodu — wyjaśnił Pecu.

— Jak to od głodu? — nie rozumiał Boruch.

— Ktoś zamknął to dziecko w szafce, a ono było głodne. Dzień, drugi, trzeci, potem tydzień, drugi, może więcej... — wymieniał Pecu. — musiało coś jeść. To jadło... siebie.

— Ale kto zrobiłby takie coś? Po co mieliby zamykać to dziecko w szafie?

Rozmyślenia Borucha przerwał podobny dźwięk uderzenia w kolejnej szafce, stojącej gdzieś przy końcu szeregu.

— Co to, do cholery? — poderwał się Rumcajs.

— Musimy sprawdzić — zarządził Pecu i ruszył ostrożnie w stronę szafki.

Przez cały czas, gdy szedł nie dobiegł ich już żaden inny dźwięk. Mężczyzna o trupich rysach w tej ponurej grze światła i cieni wyglądał jeszcze bardziej upiornie, idealnie wpisując się do otaczającego krajobrazu.

— No dobra... Panie, daj siły — popatrzył się w stronę towarzyszy. Ci spojrzeli po sobie nerwowo i niepewnie.

Nie czekając na ich odpowiedź, Pecu przekręcił zamek. Mechanizm zaskrzypiał podobnie jak ostatnio. Uchylił lekko drzwiczki. Więcej nie musiał. Odsunęło je szybko mocno napierające ciało kolejnego martwego dziecka, które spadło im wprost pod nogi.

— KURWA! — zaczął krzyczeć wniebogłosy niczym opętany Rumcajs, odbiegając od pozostałych.

— Co ty odpieprzasz?! Uspokój się! — próbował opanować targanego emocjami kompana Pecu. Bezskutecznie.

Wściekły, zdesperowany i jakby prowadzony jakąś niewidzialną siłą Rumcajs zaczął podbiegać do kolejnych szafek i błyskawicznie przekręcać zamki. Pec już go nie powstrzymywał, a Boruch przykucnął jakby bezradny. Zdawało się, iż zatyka uszy, by uchronić się od krzyków Rumcajsa. Ten zaś zdołał otworzyć w tym czasie następną szafkę. Jeszcze

jedno martwe dziecko. Od razu podbiegł do kolejnej, niemalże stąpając po niedawno odkrytych zwłokach. Jeszcze jedno. Kolejne. Następne. Jedna szafka, jeden trup. Cóż za przekłeta matematyka!

Kiedy dotarł do ostatniej szafki jaka mu pozostała przystanął na chwilę jakby chciał ochłonąć. Po jej otwarciu i ujrzeniu tego samego, co w pozostałych, opadł na podłogę, przyciągnął kolana do twarzy i... rozplakał się jak dziecko. Ten sam cyniczny i zgorzkniały Rumcajs. Pozostali tylko patrzyli bezradnie. Bez słowa.

— Po co? Dlaczego? Kto? — dukał z siebie szlochając intensywnie, nie mogąc uwierzyć w to co widzi. Stawał się coraz bardziej nerwowy. Cały wręcz drgał od emocji, jakby miał zaraz wybuchnąć od środka. — Mam dość! Mam, kurwa, dość! — krzyczał, a łzy zalewały mu gardło przez co brzmiał jakby się dławił.

— Wiesz Rumcajs... Nie wydaje mi się, żeby ci, co zrobili, chcieli źle. — przerwał tę niesamowicie niezręczną ciszę Pecy.

— Co za pieprzone gówno! — wrzasnął Rumcajs, targany mocą intensywnych uczuć.

— Pewnie chcieli je schować, uchronić je... Ale po prostu... im się nie udało. Wygląda na to, że nie mieli gdzie uciec czy się ukryć i zdecydowali, że to jakakolwiek szansa... jakiegokolwiek schronienie — mówił tak, jakby chciał to wszystko wytłumaczyć, lecz tak naprawdę chyba sam siebie przekonywał - Sami uciekli gdzieś indziej i ... nikt już tu nie wrócił.

— To po cholere je tu pakowali skoro wiedzieli, że nie wrócą?! — nie przestawał szlochać.

— Nie wiem czy nie wiedzieli, ale człowiek w takich sytuacjach nie może myśleć racjonalnie. Chcieli pewnie jak najlepiej, a w emocjach nie przewidzieli ewentualnych konsekwencji... Masz rację — zmienił nagle całkowicie sposób wypowiedzi — to wszystko jest po prostu chore. Pieprzone szaleństwo...

Nikt nie powiedział już nawet pół słowa. Każdy stał w swoim miejscu. Powietrze wypełniały tylko dźwięki płaczu, dyszenia i pojękiwań pełnych smutku oraz rozpacz.

— Wiem, że to nie jest dobry moment — postanowił oderwać uwagę pozostałych od przykrego odkrycia Pecu. — ale znalazłem to — wyciągnął przed siebie coś jakby notatnik z dużą ilością pomiętych i naddartych stron.

Reszta popatrzyła na dzierzony przez niego w rękę przedmiot ze zdziwieniem.

— Przejrzałem z grubsza. To zapiski ordynatora. Dowodził całym oddziałem dziecięcym. Brakuje kilku stron, wiele jest pustych, zwłaszcza przy końcu, ale może czegoś się dowiemy.

— Pokaż — wziął mu przedmiot z ręki Borys i światłem latarki jeździł z przejęciem po ręcznie prowadzonych wpisach. Zdawał się chłonąć pismo coraz mocniej z każdym kolejnym słowem.

— Co tam jest? — Zainteresował się Boruch.

— Pierwszy raz widzę coś takiego — zdawał się mówić bardziej do siebie niż odpowiadać na pytanie kompania. — Nigdy nie miałem kontaktu z tym, co było kiedyś... W sensie ze słowami obcego... To znaczy widziałem jakieś książki, ale nigdy pisma zwykłego człowieka jak my... To jak nie z tego świata...

\*\*\*

*Dziś na obiad mieliśmy stary, dobry kleik. Sam się z siebie śmieję, ale naprawdę go lubię. Czy to kiedyś jako mały pacjent szpitala, czy teraz jako jego ordynator. Nie ma to żadnego znaczenia. Mi tam zawsze smakowało i nie potrafiłem zrozumieć tych, co na niego psioczą. No, ale są przecież różne gusta. Nie dokończyłem dziś jednak posiłku, wychodząc wcześniej z kantyny. Wszystko z powodu tych nowych pacjentów, którzy mieli dziś do nas przyjechać. Jakaś ważna sprawa. Ponoć tajemnica i wiedzą o tym tylko dyrektor szpitala, ja i specjalnie wybrany oddział lekarzy mający się nimi zajmować. Niech i tak będzie. Pewnie znowu jakiś specjalny szczep grypy, który należy trzymać w tajemnicy, aby nie stresować opinii publicznej. Ech, te dzieci... Jak to się dzieje, że one zawsze pierwsze coś wylapią (...)*

(Kilka pustych stron i podartych kartek)

*Tego chyba dłużej nie da się utrzymywać w sekrecie. Nie wiem, co mam teraz robić... I ta cała sytuacja wokół. Mają zamykać granice, jakieś napięcia, nikt nie wie, co się dzieje. Ciężko żyć tutaj, wyjechać się nie da. Co robić? Z zespołu odeszło paru ludzi. Nie wszyscy sobie radzą ze stresem i odpowiedzialnością. Nie można im się dziwić. Każdy ma inne nerwy. Chciałbym móc powiedzieć, że mnie to nie rusza, ale... Nie potrafię. Zaczyna mnie ogarniać lęk... (zamazany tekst)*

(Kolejne wydarte kartki)

*Nadszedł czas decyzji. Odcięliśmy oddział od pozostałych. Trzeba było zamknąć nawet całe skrzydło. Wątpię że coś to da, ale trzeba kontynuować pracę. Zależy od nas więcej niż komukolwiek może się wydawać. Co, jeśli spełnią się najczarniejsze scenariusze? Nie chcę nawet sobie tego wyobrażać... Czasem, jak patrzę na nich wszystkich, to odnoszę wrażenie, że śnię. Nic w tym jednak dziwnego. Nie zmrużyłem oka od około czterdziestu godzin. Moje ciało błaga wręcz o sen. Z drugiej strony, naprawdę boję się zmrużyć oczy. Chcę je bowiem kiedyś otworzyć...*

(Porwane kartki)

*Kazali nam pozbyć się wszystkich dowodów. Wszystkich pacjentów gdzieś zabrali, a nas zmusili do podpisania lojalek, że nic z tego, co widzieliśmy i doświadczyliśmy nie zostanie nikomu przekazane. Pod groźbą cofnięcia licencji, zakazu dalszego wykonywania zawodu, a nawet kary więzienia za... Zdradę stanu. Dobrze, że nie kazali nas rozstrzelać! Chociaż kto tak naprawdę wie, do czego są zdolni. Nie będę ukrywał, że się boję. O siebie, o żonę, dzieci, całą rodzinę... Chciałem coś tutaj napisać, bo od lat spisuję wszystko, co mnie dręczy, żeby lepiej sobie z tym radzić, ale tym razem boję się umieścić coś nawet w swoim własnym notatniku. Przecież skoro tak dobrze mnie prześwietlili, to kto wie czy nie wiedzą czegoś o nim? Zastanawiam się, co mógłbym zrobić, aby pomóc innym? Nic nie przychodzi mi do głowy. Może to dziwne, ale szkoda mi tych wszystkich pacjentów, pomimo tego wszystkiego. Przez tych bydlaków co mnie zastraszyli sam już nie wiem kto tak naprawdę jest tutaj ofiarą, a kto oprawcą...*

(Dwie puste kartki i dalsze notatki. Bardzo niewyraźne – jakby pisane w pośpiechu)

*Już mi wszystko jedno, kto to odczyta. I tak wątpię, że ktokolwiek, a na pewno oni. Piszę to tylko dlatego, że nie mogę się skontaktować z Wami. Ze swoim domem. To jedyny ślad... Wskazówka, którą mogę Wam po sobie zostawić. Jeśli byłaby jakakolwiek szansa, że gdzieś będziecie mnie szukać, to musicie przecież zacząć od mojego gabinetu. Oby udało Wam się trafić na ten notatnik. Mam jednak nadzieję, że zamiast mnie, szukać będziecie raczej szukać bezpiecznego schronienia i tam przeczekacie najgorsze. Ponoć zostaliśmy zaatakowani. Tak usłyszałem. Odnotowano jakiś wybuch nuklearny na północnym-wschodzie kraju. Niby nadleciał ze wschodu. Nie wiem. Dla takich rakiet to maksymalnie parę minut różnicy, zanim dotrą i do nas. Piszę tylko dlatego, że dopiero po mnie idą. Są już ponoć na dole. Słyszałem jak Nowakowski biegł i krzychał, żeby wszystkich ostrzec. Nie ma ucieczki. Ponoć wszyscy związani z ich „projektem” i wszystkimi pacjentami zostaną gdzieś przetransportowani. Lekarze, naukowcy... wszyscy. Nie wiem dokładnie gdzie, ale ktoś krzychał coś o terenach na obrzeżach i jakichś psach. Nie wiem, o co chodziło. Już mi w sumie wszystko jedno, jeśli i tak miałbym Was nie zobaczyć... (pismo staje się jeszcze bardziej nieczytelne i chaotyczne) Na korytarzu słyszę już głośny tupot biegnących ludzi. To oni. Zaraz pewnie po mnie wpadną. Kocham Was i niech Bóg ma Was w opiece! Obyśmy spotkali się w lepszym miejscu... (śląd pisma po długopisie opada w tym miejscu gwałtownie w dół, kreśląc długą, skośną i rwaną linię, jakby coś nagle i gwałtownie przerwało proces pisania)*

— To za wiele nam nie powie — podsumował Pecy.

— O co mogło chodzić z tym całym „projektem” czy pacjentami? — dopytywał zaciekawiony Boruch.

— Nie mam pojęcia. Może chodziło o jakiś projekt wojskowy? Może trzymali tu ludzi z jakąś groźną zakaźną chorobą nieznanego pochodzenia i bali się, że rozprzestrzeni się na innych? Może prowadzili jakieś eksperymenty na chorych? Może dlatego był to „projekt”? Projekt opracowania lekarstwa.

— To miejsce robi się coraz bardziej chore z każdą sekundą — oznajmił podenerwowany Rumcajs.

— Nie martw się. I tak wszyscy już nie żyją. Jeśli nawet były tu jakieś groźne bakterie to zapewne już wyparowały razem z tymi, którzy je w sobie nosili — uspokajał go Borys.

— Może... — nie wydawał się ani trochę spokojniejszy. — Ale i tak bierzmy, co musimy i spadajmy stąd jak najszybciej.

— Ten plan nie zmienił się ani trochę — przytaknął mu Borys. — Przeczesał tu wszystko. Nie ma nic co by nas interesowało. A co u was?

— To samo. Wiemy tylko, że na samą górę nie wejdziemy, bo przejście jest zawałone. Zostaje to piętro na którym jesteśmy i piwnice. Kto idzie w takim razie na dół? — rozejrzył się po towarzyszach Pecy.

— O taki chuj, że idę tam w dół — od razu zaprotestował Rumcajs.

Wyraźnie poirytowany Peca wziął swoją latarkę i wcisnął ją mocno w dłoń Rumcajsowi upewniając się, że ten trzyma mocno przedmiot.

— Kawał chuja to jest z ciebie. W dodatku bez większego pożytku. Pilnuj tego i czekaj tu na nas aż wrócimy. Nikt nie będzie cię niańczył i targał za sobą na siłę.

— Spierdalaj. Myślisz że pójde Bóg wie gdzie, nadstawiając karku, tylko dlatego, że się uniosłeś? Mam się poczuć zawstydzony? Mam teraz polecieć tam jak na skrzydłach, bo zrobiłeś złą, obrażoną minę? A pierdol się. Mam to w dupie i myśl sobie co chcesz. Ja mam zamiar wyjść z tego cało.

— Jest z tobą gorzej niż myślałem — podsumował krótko Peca. — Jak wrócimy do domu, to nie chcę cię widzieć. Lepiej schodź mi z drogi, bo łeb przetrączę.

— Nie musimy w ogóle obok siebie stać — rzucił stanowczo i przeszedł obok Peca, patrząc mu do końca prosto w oczy.

— Może... — zaczął nieśmiało Boruch. — W takim razie jak jest nas trójka, to pójdziemy wszyscy po prostu na dół? Jeśli mieli tu jakiegokolwiek

zapasy, to musieli je gdzieś przechowywać. Pewnie tam gdzie nie każdy miał dostęp, więc może od razu idźmy do piwnicy.

— Tak będzie trzeba zrobić. Schody są tu zaraz za rogiem na końcu korytarza. Jak widać na tym poziomie nic nie znajdziemy. Nie mamy zbyt wiele czasu. Niedługo będzie świt, a nie chcemy się rzucać w oczy. Chodźmy więc.

— Jakby coś się działo... — zwrócił się Borys do Rumcajsa, patrząc mu prosto w oczy. — A zresztą... nieważne — machnął ręką i wraz z resztą skierował się w stronę schodów prowadzących na dół.

W powietrzu czuć było chłód, odbijający się od kafelek na podłodze, ale nikomu z nich nie było zimno. Wręcz przeciwnie. W każdym z nich wrzało od nadmiaru różnych emocji. Korytarz wypełniał odgłos echa ich kroków. Gdzieś w oddali, z dołu schodów dobiegały ich co prawda jakieś dziwne dźwięki, brzmiące nieco jak złowrogie jęki, które słyszeli całkiem niedawno na zewnątrz, lecz tym razem byli niemalże pewni, że źródło tych odgłosów bierze się zapewne ze starych drzwi lub okien, które lekko uchylone znajdowały się gdzieś na drugim końcu szpitalnego skrzydła. To co jednak nie dawało im spokoju, to nie dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięć procent pewności, że tak właśnie jest, lecz ta jedna dziesiąta mówiąca, że może być kompletnie inaczej. Wszystko za sprawą tego notatnika na który trafili, dającego im nieco szersze spojrzenie na to co się tutaj wydarzyło, a raczej ogromne pole do domysłów co mogło tam naprawdę się stać, gdyż pewności nie mieli żadnej. I teraz jeszcze do dźwięku ich kroków dołączył jakby kolejny dźwięk. Odgłos niepewności i dziwnego lęku. Ten jednak nie wydobywał się spod ich stóp lecz, jak im się wydawało, z głośnego i nadmiernie przyśpieszonego bicia ich serc...

\*\*\*

Piwnica nie była przyjaznym miejscem. Chłód i wilgoć przejęły to miejsce całkowicie. Wyczuwalny smród stęchlizny przenikał wszystko doszczętnie, a w nozdrzach pozostawiał swoisty niesmak. Choć wokół było cicho, to okazjonalnie dochodził ich odgłos rozpadających się w wyniku zderzenia z twardą powierzchnią kropli wody. Najwyraźniej



gdzieś tam w oddali mrocznych zakamarków wystawał kawałek starej, zniszczonej i zapewne pordzewiałej rury przez którą raz na jakiś czas sączyła się odrobina tej życiodajnej substancji, z pewnością nie nadającej się już do spożycia. Tamtędy też pewnie musiał przedostać się tutaj szczur, który wcześniej omal nie doprowadził ich do zawału serca.

Po paru minutach spokojnego marszu na który składało się przestawianie fragmentów mebli i wyposażenia blokującego przejścia, oraz zagłądanie w każde dostępne miejsce trójka mężczyzn przystanąła na chwilę, gdzieś mniej więcej w jednej trzeciej długości głównego korytarza. Światłami latarek przemierzali wszystko na wprost i po bokach. Nie było tam nic czego nie spodziewaliby się spotkać. Jakieś drobne szafki, parę szpitalnych łóżek, materace, wózki inwalidzkie, nosze, a także kilka tablic z jakimiś informacjami. Na chwilę zatrzymali światło na tej znajdującej się najbliżej nich, będącej zarazem tą największą. To czego można było się spodziewać – reklamy leków, zabiegów, klinik. Dokładnie to, co zakładali spotkać w szpitalu. Największą jednak uwagę przykuwał sporych rozmiarów plakat z wizerunkiem tęczy zajmującej około trzech czwartych jego powierzchni. Przedstawiał on jakąś firmę bądź zakład farmaceutyczny o nazwie „Tęcza”, który wedle haseł reklamowych zajmował się specjalnymi środkami i lekami przyszłości. Obok tegoż plakatu można było także dostrzec ogłoszenia drobne pochodzące najwyraźniej od różnego rodzaju pacjentów. Jedne oferowały za darmo wózek dla dziecka, inne pochodziły od pacjentów szukających jakiś lekarstw, a jeszcze inne zostały napisane przez osoby oferujące swoje usługi jako opiekun dla osób chorych bądź starszych.

— Chyba jesteśmy na tropie — przerwał ciszę Borys.

— To znaczy? — niezbyt rozumiał o co mu chodzi Pecy.

— Bardzo dużo reklam leków. To chyba musimy być gdzieś w ich pobliżu, nie?

— A jak na mieście widziałeś fragmenty billboardów ze słodyczami, to pod nimi znajdowałeś tabliczki czekolady i batoniki? — zapytał go ironicznie Pecy.

Skonsternowany Borys nie odpowiedział.

— Słuchaj. Ja też mam nadzieję, że coś znajdziemy i wydaje się że jesteśmy blisko, ale to nie znaczy, że tak będzie.

— Jasne... Rozumiem.

— Panowie. Patrzcie na to! — zawołał wyraźnie podekscytowany Boruch, kierując latarkę na szarą, prostokątną tablicę z czerwonymi literami, zawieszoną na boku ściany.

— O żeż w mordę... Apteka! Za rogiem! — wykrzyknął jeszcze głośniejszy zachwycony odkryciem Borys.

— Ciszej! — uspokoił ich stanowczym szeptem Pecy. — Spokojnie. Nie chwalmy dnia przed zachodem słońca. Pomału.

Choć szli dalej ostrożnie, to można było odnieść wrażenie, iż unoszą się w powietrzu jak na skrzydłach, podbudowani swoim odkryciem. Choć zajęło im to parę minut, to zdawało się, iż błyskawicznie dotarli w miejsce wskazane przez znaki. Zupełnie jakby ignorowali to, iż im głębiej zapuszczali się w korytarz, a później w następną jego odnogę tym bardziej zniszczony i pokryty stęchlizną się on stawał. Z niektórych ścian zdawało się aż dosłownie kapać jakąś maziowatą, zielonkawo-brunatną substancją. Co prawda Pecy dostrzegł to kątem oka, ale od razu uznał, iż to grzyb pochłaniający pomału wszystko w okolicy.

— Oto i ona... — oznajmił z szerokim uśmiechem na ustach Borys. — Stoi tu i czeka na nas. Cała nasza! — nie potrafił powstrzymać entuzjazmu na widok faktycznie znajdującej się niemalże w idealnym stanie szpitalnej apteki. Właściwie można by uznać, iż wszystko zostało tutaj w takim samym stanie jak wtedy, gdy po raz ostatni byli tu ludzie, gdyby nie ogromna plama zaschniętej krwi na podłodze i pełno szkła wokół. Pomimo nieukrywanej radości ze znaleziska, nawet to nie mogło ujść ich uwadze.

— A skąd to do cholery się tu wzięło? — zapytał jakby sam siebie Boruch.

— Nie mam pojęcia. Zaschnięta. Pewnie dawno temu... — zastanawiał się Pecy.

— Pamiętasz, co było w notatniku? — zabrał głos, machając latarką wokół Borys. — Przyszli po nich. Może któryś stawiał opór lub chciał uciec?

— To by w sumie tłumaczyło brak ciała — zdawał się popierać teorię kompana Pecu.

— Tylko, że... dlaczego zabrali ciała? — wydawał się nie do końca ufać tej teorii Boruch.

— To znaczy?

— No, przecież w notatniku było, że nastąpił atak.

— Prawdopodobnie — przerwał mu Borys.

— No, nawet jakby prawdopodobnie nastąpił. To akcja była naprawdę i ewakuowali to miejsce. Jeśli więc nastąpił atak lub miał dopiero nastąpić, a światu zostało parę minut, to po co przejmować się jakimikolwiek ciałami? Po co im one? I co najważniejsze - kto je znajdzie? Kto w ogóle będzie szukał? Przecież wszyscy pozostali by nie przeżyli.

— W sumie masz rację... — zaczął na nowo zastanawiać się najstarszy z mężczyzn.

— Myślicie, że ktoś inny mógł je wziąć? Albo... coś? — w głosie Borysa dało się wychwycić zaniepokojenie.

— Nie wiem. A może te ciała były dla nich cenne? — analizował sytuację Boruch.

— Ale na co komu zwłoki? — teraz to Pecu wydawał się nie do końca wierzyć teorii jednego z kompanów.

— Nie wiem. Zastanawiam się po prostu. Tyle wątpliwości...

— Dlatego najlepiej będzie jak weźmiemy, to co musimy i po prostu stąd pójdziemy jak najszybciej — zaczął zdejmować plecak Borys.

— Chyba masz rację. Zwiedzanie zostawimy sobie na kiedy indziej.

— Powinno nam szybko pójść. Drzwi do apteki są otwarte — wskazał palcem na wejście Boruch.

— No dobra. To pamiętajcie. Rozglądamy się w pierwszej kolejności za antybiotykami i lekami dla małych dzieci. Wszystkie rzeczy dla kobiet, kobiet w ciąży, kobiet karmiących, witaminy, odżywki i tym podobne również są bardzo ważne. Pakujemy, ile wlezie. No i nie możemy zapomnieć o opatrunkach, bandażach, środkach dezynfekujących i tak dalej.

— Chyba będziemy musieli zrobić ze dwa kursy — uśmiechnął się znajdujący się już z przodu i oświetlający wnętrze Borys. — Albo ugniatać do oporu to co weźmiemy.

Faktycznie, po chwili i pozostali widząc na własne oczy wyposażenie apteki zamarli z podziwu. Żaden z nich nigdy nie widział na żywo takiej ilości lekarstw i różnego rodzaju preparatów w jednym miejscu. Pecy, jako iż był najstarszy, pamiętał jak kiedyś, gdy tułali się z bratem po ruinach miasta, napotkali na częściowo ocalały budynek dawnej szkoły farmaceutycznej, w którego wnętrzach znaleźli trochę lekarstw. Było to może ze trzydzieści różnych tabletek i opakowanie zawierające suplementy diety, ale odkrycie to napawało ich taką radością, że jeszcze z tydzień nawzajem sobie opowiadali historię ich znalezienia. Chociaż każdy z nich tam był i znał ją na pamięć. Jeszcze parę lat później, gdy brat Peca umierał na jego rękach, powolnie trawiony czymś co przypominało białaczkę wywołaną nadmierną ilością radiacji, wspominali sobie ich wspólne chwile i ten moment był tym przy którym na twarzy ostatniego członka jego rodziny pojawił się również jeden z ostatnich jego uśmiechów.

Wszystko, od kremów do skóry, przez maść na odparzenia, pieluchy dla noworodków, preparatów z cynkiem po pigułki na przeczyszczenie. Wszystko było tutaj na wyciągnięcie dłoni. Skarbnica bogactwa i luksusów o których mało kto odważył się śnić. Aż dziwne, że to miejsce w ogóle jeszcze posiadało to wszystko i ktoś wcześniej go nie wyczyścił do cna ze wszystkich zasobów. Co prawda, niemało z tych leków było już po terminie ważności, ale żaden z nich nie miał zamiaru na to wybrzydzać. Brali więc jak leci czego potrzebowali. Borys wszelkie witaminy, Pecy bandaż, opatrunku, kremy na infekcje, antybiotyki, a Boruch... rzeczy dla dzieci, niemowląt, karmiących matek. I to on dopiero pierwszy zabrał głos przerywając intensywne odgłosy upychania plastikowych opakowań wewnątrz skórzanych plecaków.

— A co jeśli... No wiecie. Jeśli ktoś będzie potrzebował tych leków tak jak my?

— Daj sobie w ogóle spokój z takim myśleniem — stanowczo naprostował go Pecy. — Nie ma innych. Jesteśmy tylko my. Albo nas nie ma... Nie będzie w ogóle. Rozumiesz?

— Tak. Wiem, o co chodzi, ale... — akurat gdy kończył dociskać ostatnie upchane siłą w plecaku zapasy chyba wszystkie korytarze szpitalne, a na pewno te w pobliżu których się znajdowały wypełnił przerażający krzyk i odgłos wystrzałów z pistoletu. Całość pochodziła z całą pewnością z góry.

— Rumcajs... — szepnął tylko do siebie Pecy.

Kolejny wystrzał. Kolejny krzyk.

— Brać wszystko, co macie i biegiem na górę! — krzyczał i poganiał młodszych kolegów.

Każdy dopakowywał to co miał w ręce i zaczął gnać na złamanie karku. Pecy na przodzie, Boruch za nim, a Borys na końcu. Właściwie ten ostatni dopiero kończył dopinać plecak, gdy pozostali byli już w pełnym biegu. Pędzili co siłą, aż czuli piekący ból w klatce piersiowej i udach. Wbiegli na schody. Dopiero teraz zaczynało być ciężko. Łydki dosłownie płonęły od wysiłku. W pewnym momencie obydwaj poczuli jakby zaczęli lekko opadać na siłach, ale od razu wstąpiły w nich nowe, kiedy usłyszeli odgrażającego się Rumcajsa, wydzierającego się na pełne gardło.

— Zapomnijcie! Nie dostaniecie mnie żywcem! Wara ode mnie!

Pecy z Boruchem wymienili zdziwione spojrzenia i ruszyli w jeszcze bardziej szaleńczym biegu. Przystanęli dosłownie po paru sekundach na chwilę jak tylko dobiegło ich echo upadającego i rozkładającego się na schodach Borysa. Momentalnie przysiadł on na najniższej położonych schodach i złapał za obolałą nogę.

— Nic mi nie jest! Biegnijcie! Zaraz do was dołączę! — uprzedził pytania pozostałej dwójki, nakazując im kontynuowanie odsieczy.

— Niedługo po ciebie wrócimy! — odkrzyknął Pecy i skierowali się pośpiesznie na górę.

Kiedy skończyły się schody i znaleźli się na znanym już im poziomie, Boruch dostrzegł przelotnie, że napotkana w piwnicy maź była też obecna na ścianach i suficie tej części szpitala. Nie był to powód do głębszych rozważań, ale zwróciło to jego uwagę.

— Rumcajs! Gdzie jesteś?! — krzyczał Pecy. Nikt mu nie odpowiedział, ale po chwili w oddali rozległ się dźwięk potężnego uderzenia, i huk czegoś ciężkiego roztrzaskującego się o twarde podłoże.

— Cholera, to na końcu korytarza! Biegiem! — rozkazał, a Boruch podążył za nim.

W kilkanaście sekund dobiegli do Sali na końcu korytarza do której odnosił się Pecy. Ich oczom ukazał się intrygujący widok. O ile pomieszczenie nie zawierało żadnych niepokojących śladów, o tyle w jego środku, tam gdzie kiedyś znajdowało się okno teraz znajdowała się ogromna dziura. Wyglądało to jakby ktoś za pomocą dużej szafy lub łóżka rozpędził się i całą siłą wbił we wspomniane okno niszcząc je w drobny mak, wyrwijąc razem z kawałkiem resztek ściany.

— Co, do cholery?!

— Ale jak? Jak niby miałyby to zrobić? — nie wierzył własnym oczom Boruch.

Podbiegli szybko do dziury w ścianie i spojrzeli w dół. Spoczywały tam resztki potężnej niegdyś, a obecnie roztrzaskanej w drobny mak szafy, a pod nimi nieruchome i powykrzywiane ciało Rumcajsa.

— Trup. Na miejscu. Nie ma co zbierać — podsumował krótko Pecy.

— Matko Boska... — wyszeptał do siebie młodszy z mężczyzn.

— Wiem że pił i jeszcze te emocje z dzisiaj. Cała nasza codzienność nie jest łatwa, ale dlaczego? Czemu teraz? — kręcił głową z niedowierzaniem. — Po co miałyby skakać?

Nastąpił moment ciszy, który przerwał dopiero wyraźnie zainteresowany pewną obserwacją Boruch.

— A co jeśli... Jeśli to nie on?

— Jak to nie on? Co ty bredzisz, młody?

— Może i był pijakiem i świrem, który chciał skończyć ze sobą, ale sam mówił, że nie miał na to odwagi — wspominał ich wcześniejszą rozmowę.

— No to najwyraźniej ją znalazł — nie dopuszczał do siebie innej opcji Pecy.

— Tylko, że... Dlaczego to resztki szafy leżą na nim, a nie on na nich? — skierował strumień światła latarki na zwłoki.

— To znaczy?

— Przecież żeby zniszczyć nawet nadwątloną ścianę potrzebowałby dużo siły. Sam wiesz, że pił i był rozchwiany emocjonalnie, więc małe szanse, że dałby radę, ale założmy, że by dał, to przecież... On musiałby pchać szafę. A to wygląda tak jakby... Szafa pchała jego i wraz z nim przebiła się przez ścianę. To nie ma przecież sensu...

— Masz rację. Nie ma. Dlatego sędzę, że sam ją wypchał, choć dalej nie wiem po co, i fragment zahaczył się w ścianie. On wypadł raz z resztą, a później ten zaczepiony fragment odpuścił i spadł na niego.

— Strasznie to dziwne.

— Wiem — przyznał uczciwie, klepiąc chłopaka po ramieniu i kierując z powrotem tam skąd przybiegli ale i tak nic z tym teraz nie zrobimy. Jaki był taki był, ale przyszedł tutaj z nami i za to należy mu się chociaż dobre słowo na koniec. Miejmy nadzieję, że jest w lepszym miejscu.

— Chociaż tyle — szczerze przytaknął Boruch.

— Musimy się zbierać, jeśli nie chcemy wszyscy do niego niedługo dołączyć. Pamiętaj że mamy ludzi, którzy na nas czekają i trzeba jeszcze opatrzyć Borysa. To może być coś dokuczliwego.

— Wiem. Rozumiem. Chodźmy — zgodził się i obydwaj udali się pomału z powrotem do piwnicy, czując na plecach nawiewający chłód ze świeżo powstałej wyrwy w ścianie budynku. Choć był to chłód wynikający z niskiej temperatury, to obydwaj mieli uczucie, że tym razem i sama śmierć zawitała do nich, postanawiając przypomnieć im o tym, iż któregoś dnia i ich weźmie w swoje objęcia.

\*\*\*

— Borys! Gdzie ty jesteś? No chodź! Nie mamy czasu! — krzyczał Pecu głośno w głąb ciemnego korytarza, po tym jak od dziesięciu minut, gdy wrócili na dół nie mogli znaleźć swego kolegi.

Dla Borucha zastanawiające było, oprócz zniknięcia Borysa, to że maź którą wcześniej wypatrył na tym samym poziomie wydawała się nagle zwiększyć swoją objętość lub przesunąć nieco bliżej schodów. Przez chwilę odnosił nawet wrażenie, że sama się porusza, choć było to oczywiście absurdalne.

— Cholera, nigdzie go nie ma. Może poszedł na górę, i się minęliśmy? — starał się wymyślić, gdzie mógł się podziać Borys.

— Może być. I co teraz? — zapytał wyraźnie przejęty Boruch.

— Poczekaj tutaj w razie gdyby wrócił. Ja wejdę na górę i zobaczę czy nie wrócił.

— No dobra. Tylko zaraz wracaj. To miejsce zaczyna mnie przerażać.

— Spokojnie młody. Wyjdziemy z tego, znajdziemy Borysa i wracamy od razu do domu.

— Mam taką nadzieję — przyznał szczerze.

— No dobra. To ja zaraz jestem.

— W porządku.

Kiedy Pecu się oddalał Boruch skierował światło latarki w jego stronę chcąc oświetlić mu nieco większy odcinek drogi. Kiedy rozjaśnił tył postaci starszego kolegi zauważył coś co go z początku zaniepokoiło, lecz po chwili uznał za normalne w otaczających okolicznościach. Była to odrobina tej specyficznej substancji czy też mazi o zielonkawo-brunatnym zabarwieniu, której odrobina spoczywała na karku Peca.



— Pecu! — zawołał do niego głośno chcąc go poinformować o swoim odkryciu.

— Co, młody? — spytał rozdrażniony?

— Nie, nic — machnął ręką Boruch. — Uważaj na siebie.

— Ty też!

I tak został sam. Minęła minuta, dwie, pięć, a Pecu nie wracał. Postanowił więc trochę pokreć się okolicy, ale nie oddalać za bardzo od schodów. Po chwili poczuł coś dziwnego na swoim ramieniu. Coś jakby spadło na nie coś gęstego i lepkiego zarazem. Sięgnął dłonią by zobaczyć co to. Była to ta sama zielonkawo-brunatna ciecz, którą widział do tej pory na suficie i fragmencie ścian. Była praktycznie bezwonna, ale zdawała się wchodzić w reakcję ze skórą, gdyż pod wpływem dotyku kleiła się jakby bardziej, a nawet zdawała lekko poruszać. *Nie... To niemożliwe* — mówił do siebie w myślach. Studiował ją jeszcze chwilę przekładając z palca na palec, z ręki na rękę, podkładając pod nos, aby sprawdzić zapach. Z każdą upływającą sekundą odnosił wrażenie, że jest jej odrobinę więcej, a po jakimś czasie nagle zdał sobie sprawę, że widzi ją wszędzie przed sobą.

Nie było to złudzenie, gdyż po prostu nagle... Znalazł się na podłodze. Leżał na niej, patrząc w sufit, który cały był pokryty tym dziwnym czymś. Po chwili poczuł jak kolejna ciężka kropla ląduje na jego ciele. Musiała spaść z góry i uderzyć prosto w brzuch. Kolejna w drugie ramię, jeszcze jedna w klatkę. Minęło już z pewnością kilkanaście minut jak nie więcej. Czuł się jak zawieszony w jakimś stanie półprzytomności, lub też hibernacji. Miał wrażenie, że majaczy i zaczyna mieć zwidy.

Ni stąd, ni zowąd wydał głuchy jęk przerażenia. Wokół niego zaczęły bowiem pojawiać się... Dzieci. I patrzeć na niego z góry. Groteskowe, o pustych oczodołach i martwych spojrzeniach. Bez skóry na twarzy, z resztkami leniwie spoczywających włosów. Przyglądały mu się. Bez ruchu. Stały i patrzyły. Gdzieś spomiędzy nich wyszedł jakiś mały chłopczyk. Jedyne inne. Jakby bardziej żywy. To był syn jego ukochanej dla którego zbierał przeciw leki.

— Dziękuję ci — powiedział. — Teraz już będzie dobrze. Ja też się tobą zajmę. Wszyscy się zajmimy.

Nie widział już, kto wypowiada ostatnie słowa, ale miał wrażenie, że było to kilka istot naraz. On sam już tylko je słyszał po czym całkowicie odpłynął czując ciepło i dziwne szarpanie w okolicach ud, klatki, szyi i wszystkich miejsc, gdzie do niedawna jego tętnice pompowały gorącą krew. Nie wiedział, co się z nim dzieje, a nawet jakby wiedział, to było mu już wszystko jedno...